

Amerykański departament Voytka Glinkowskiego

Paweł Reising - Chyba trudno zdefiniować Pana twórczość? Z pewnością Pańskie dzieła malarskie wyróżniają znakomitą techniką, specyficzną harmonią barw, znakomitą umiejętnością posługiwania się światło-cieniem...

Voytek Glinkowski - Definicje... tak bardzo jesteśmy do nich przywiązani. Dają nam wrażenie panowania nad materią. Bardzo chcemy zamknąć „sprawę” w pudełeczku, aby mieć ją pod kontrolą. Nie cierpię ostatecznych sądów. Dla nas, Artystów, jedynym odnośnikiem jest Światło. Podróżuje ono w przestrzeni i napotyka przeszkody takie jak ludzkie ciała, drzewa, pejzaże, martwe natury, myśli... Te spotkania to kolizje pełne skutków. Pojawiają się iluzje dematerializujące owe przedmioty. My, Malarze, wybieramy te niesamowite, wygięte, zadymione, wymieszane, złudne... Wprowadzamy skutki owych kolizji na zawsze do codzienności często wyolbrzymiając ich objawienia. Semantyka „realna” to jedynie wykręt. Gdy mam dość Natury, wtedy grzebię w myślach i... na szczęście ciągle znajduje te odłożone na później. Definiowanie napotkanej rzeczywistości może odbierać możliwość poznania, zamykać drzwi do czegoś Ładnego, Lepszego, Nowego...

- Pana obrazy są niebywale różnorodne pod względem tematycznym. Podziwiając je mogłem dostrzec pewne cykle, które mógłbym nazwać „Surrealistyczne zegary”, „Galopujące konie”, „Muzyczny ocean”, „Zamyślone baletnice”...

- Tak, popadam w ciągi. Na początek, proszę, zrezygnujmy z określenia „surrealne”. To tak wyprane i dzisiaj niewiele znaczące słowo. Używają go tłumy do określenia wszelakich doznań, które wybiegają poza ramy Rozumienia. A nie trzeba rozumieć wszystkiego. Czasem warto dać się ponieść. Ot tak, ufajmy, że ten lub ów nie chcą nas nabrać. Ufajmy, że biorą nas nieświadomych za dłoń i prowadzą ku poznaniu. Nazywam te wydarzenia Realną Nierealnością. I tak właśnie, myślisz, że coś jest niemożliwym, aby się stało lub tak właśnie wyglądało? Tylko poczekaj, daj czasowi czas. Namalowałem kilka serii. Każda jest poświęcona Myśli, która uznałem za wartą podniesienia. Nadałem im nazwy - „Kartki z Mojego Notatnika”, „Nieme Symfonie”, „Opowieści Światła”, „W Kuluarach”... To rozmyślanie nad przemijaniem, strachem, prawdą... Taka zabawa w chowanego z rzeczywistością. To jest semantyka mojej pracy. Jest ona drugorzędna w stosunku do fundamentu sztuki - Kompozycji, czyli relacji formy i koloru. To owa Kompozycja sprawia akceptację lub odrzucenie. Jeżeli polubiłeś historyjkę, na którą spoglądasz, to znaczy, że balans w obrazie cię uspokoił i zaprosił do siebie.

- Istnieje pogląd, że młody człowiek musi być co najmniej szalony, żeby chciał zostać zawodowym artystą malarzem. Przecież tylko nielicznym udaje się utrzymywać ze sprzedaży własnych dzieł. A jak nazwać kogoś, kto rzuca się na najgłębszą wodę, pozostawia wszystko i wyjeżdża na drugi koniec świata do Ameryki?

- Na to pytanie mógłbym odpowiedzieć jednym zdaniem: Świat, w którym żyjemy jest jednym wielkim cyrkiem. A tutaj, w Ameryce, mamy miejsca w pierwszym rzędzie. Zupełnie figlarnie atrakcyjne spostrzeżenie, prawda? Ale nie wyczerpuje tematu. Nie zostaje się Artystą z powodów planowania. To zostawmy konstruktorom samolotów i ekonomicznych przyszłości. Artystą się stajesz, gdy Sztuka cię dopadnie i kiedy zaczniesz ją rozumieć choć troszkę. Sama szkoła, czy akademia jeszcze niczego nie załatwią. Zajęło mi 10, może 15 lat zanim zacząłem rozumieć, czego ci mądrzy ludzie chcieli mnie nauczyć. I nauka owa nigdy nie miała dzwonka na przerwę. Artystą bywa się od czasu do czasu. Tak, rzuciłem się w nieznane, ponieważ poniosła mnie po raz kolejny wyobraźnia. Czy to mądre, czy też nie, to nie ma znaczenia, taka woda pod mostem. Dusila mnie szarzyzna zakłamanej komunistycznej struktury i zwałem, gdzie oczy poniosły. Dłużej nie mogłem

wytrzymać, bo wytrzymywałem 28 lat.

- Zdobył Pan renomę na amerykańskim rynku sztuki, lecz z pewnością droga do tego celu nie była prosta...

- Jeżeli chcesz mieć miękkie serce, to lepiej miej twardą dupę – tak mawiała moja ukochana babcia Maria. I nigdzie tak owa mądrość się nie sprawdziła, jak na mojej drodze ku i w Ameryce. Nie opowiem Panu pokrótce 30 lat mojego wiecznie zbuntowanego żywota. Tutaj nie ma skrótów. Bolało wiele razy i czasem jeszcze ciągle boli. Aczkolwiek mózg wyprodukował antidotum. Zatem znieczulony bywam coraz częściej. Zajęło mi trochę czasu zanim pojąłem, że zmienić to ja mogę sobie gatki, ale świata nie. Tym niemniej nikt mi nie powie, że nie próbowałem. Mógłbym tutaj rzucić w Pana listą galerii ważnych i ważniejszych, plejadą dealerów niezwykle i klientów z tzw. „półki”... Renoma dla mnie jest tym, że zrozumiałem Sztukę. Nie ma za to nagród ani medali.

- Kto miał największy wpływ na Pana twórczość? Co Panu dała nauka w łódzkiej Akademii Sztuk Pięknych? Kto był dla Pana artystycznym autorytetem, czy może idolem?

- Rzeczywistość! Niezależnie od jej jakości przenika nas, formułuje, buntuje, uszlachetnia, trwoży... Sztuka to zajście socjologiczne, system naczyń połączonych. Jesteśmy ofiarami, współnikami, przeciwnikami. Nie ma ucieczki od codzienności wpływającej w nasze myśli i dusze setkami drobnych sylab. Wtedy akademia była rajem w szarości komunistycznej bzdury, w galaktyce absurdu. Przemykając na co dzień pośród dziesiątek martwiących się i beznadziejnie spracowanych twarzy, czuliśmy wyrzuty sumienia. Spędzaliśmy całe dnie w świecie odizolowanym, lepszym. Akademia pełna była mądrych i mądrych niezwykle ludzi. Norbert Zawisza w nietuzinkowy sposób próbował uświadomić nam znaczenie historii. Stanisław Łobodziński szeptem próbował uświadomić nam moc kompozycji. Jacek Bigoszewski torturował znaczeniem rysunku. Włodzimierz Pierzgalski jowialnie zmuszał do traktowania fotografii z pełnym szacunkiem. Staś Łabędzki, Jan Grabowski, Ryszard Hunger... Szanowałem ich do głębi możliwości szanowania, ale nie rozumiejąc zbyt wiele z tego „o czym” i „dlaczego”. Zajęło mi następnych 15 lat, zanim zrozumiałem, o czym oni rozprawiali. Ale zanim zmądrzałem, wzbudzili we mnie ciekawość i usypali fundamenty całej reszty mojego życia, pewno nawet o tym nie mając pojęcia. Dziękuję. A idole? To bardzo śliski grunt. Zachwycają i zaraz próbujemy ich naśladować najczęściej nie mając jeszcze gotowego warsztatu. Zatem padamy na pysk w rozpaczny nieudacznictwa. Van Dyck, Caravaggio, Battiste Tiepolo... Lekkość Toulouse-Lautrec’a, genialność rysunku Alfonsa Muchy, wariactwo kolorów Kees’a Van Dongen’a... Ta lista jest długa. Ale nie tylko malarstwo kształtowało mnie, bo Sztuka to naczynia połączone. Dramaty Witkacego wystawiałem w wyobraźni całymi nocami. Opowiadania Hrabala doprowadzały „Zwykłość” do „Niesamowitości”. Wharton, Steinbeck, Maria Remarque, Zola... Pamiętam niezwykle radość z odkrycia katastrofy kompozycyjno-konstrukcyjnej „Lekcji anatomii” Rembrandta. Siedziałem trzy godziny na przeciw w sali muzealnej w Hadze. Uradował mnie niezwykle fakt, że skoro sam Rembrandt mógł wykonać knota, to i ja mam prawo się wyłożyć. Nie kurczy to wielkości Rembrandta, lecz potwierdza, że był człowiekiem, więc mógł się mylić.

- Domyślałem się, że nie tylko malarstwo kształtowało Pana artystyczną duszę...

- Wychowałem się w dużej mierze w teatrze. Nawet dyplom w ASP, w znacznej części, był spektaklem teatralnym. Napisałem, wyreżyserowałem i wystawiłem w ramach dyplomu jednoaktówkę „Wodzowie”. Wystąpiło w niej czworo zawodowych aktorów i jedna amatorka. Mój wuj przeświatny, śp. Marian Glinkowski, ten od teatru zbuntowanego „ORFA” i paru innych, odbierał i aprobował próbę generalną. I tak mi chyba zostało? Pracowałem w Teatrze Muzycznym i Wytwórni Filmów Fabularnych. Byłem w czasie studiów asystentem scenografa przez chyba dwa lata. W filmie pracowałem z śp. Andrzejem Przedworskim...

- A jak gusty Amerykanów wpływają na tematykę Pana obrazów? Czy zdarza się realizować zamówienia pod konkretnego odbiorcę?

- Gusty? Chyba niewiele mnie one obchodzą. Nie wykładam łazienek kafelkami, dlatego nie muszę używać tych, wybranych przez właściciela łazienki. Miałem i mam szczęście, bo dotarłem do takiego miejsca w życiu, gdzie posiadam pewność, że to ja rządę w tym departamencie. To ja jestem specjalistą od kompozycji i koloru, więc proszę sobie wybrać. Nie realizuję dekoracji do meblościanek. Każde specjalne zamówienie realizuję bez sugestii. A było tego sporo. To jest ciągle, nieprzerwanie mój Teatr. Jeżeli ktoś zgłasza się do mnie z ofertą, to znaczy, że zaaprobował to, co zobaczył wcześniej.

- Na obrazie „United Concept” przedstawił Pan ludzi pędzących przed siebie, którym twarze przesłania amerykańska flaga. Czy to dzieło miało w Pana zamierzeniu symbolizować jakiś błędny pęd, czy może wręcz przeciwnie - ochronę państwa nad obywatelami?

- „United Concept” to w semantycznej warstwie opowieść o nas wszystkich, czy raczej o znakomitej większości. Niestety, każdy ciągnie materię życia w swoją stronę niewiele bacząc na bliźniego. Polska, tak jak i Ameryka, jest tego znakomitą przykładową. Nie wszystko musi nam pasować w układzie zwanym społecznością, nie wszystko musi być po naszymu. Nie potrafimy dzielić się przestrzenią, co do której zgodziliśmy się nazywać wspólnotą. To o tym, niestety, jest „United Concept”.

- Kilka lat temu namalował Pan obraz poświęcony ofiarom zbrodni katyńskiej. Stwierdził Pan wówczas, że nie chce go sprzedawać, lecz przekazać do jakiejś instytucji w Polsce. Czy to się udało?

- To niejako powinność. Wyrosłem w czasach, gdy karano za rozmowy o Katyniu. Odebrano ofiarom tej sowieckiej zbrodni prawo do Pamięci. To ohydne kłamstwo! „Ofiarom Katynia” to moja kontrybucja owej Pamięci. Nie jest to obraz na sprzedaż. Nie mogę sobie wyobrazić poboru tantiem od tragedii. Chcę, aby zawisł w publicznym miejscu, ale jeszcze do tego nie doszło. Gdy kilka lat temu miał wylądować na ścianie dyplomatycznej placówki w USA, wtedy jakiś politykiński dupek zaczął rozpracowywać mnie - O co jemu chodzi? Z jaką partią on trzyma? Zebrało mi się na wymioty.

- Czy utrzymuje Pan kontakt z Polonią, z polonijnymi organizacjami w Stanach Zjednoczonych?

- Kontakt z Polonią jest nieunikniony i wręcz konieczny. Czasem trzeba rozmawiać poważnie lub też o poważnych sprawach. A to jest możliwe jedynie w języku, w którym mówiła do Ciebie Twoja Matka. Ale nigdy nie byłem i wciąż nie jestem działaczem, zatem w organizacjach się nie wyrabiam. Za dużo w nich polityki, biurokratycznych komplikacji i towarzyskiego kunktatorstwa. Tak więc moja własna Voytek's Daily Art Corporation w zupełności mi wystarcza.

- Jednak nie tylko malarstwo wypełnia Panu życie...

- Jakoś nie potrafię, wie Pan, „na pół gwizdka”. Chociaż bardzo się staram. Nie muszę i nie chcę nikomu niczego udowadniać. Kiedy zacząłem intensywnie jeździć na nartach, no to zaraz trzeba było się ścigać. I tak ścigałem się intensywnie przez 12 lat. Arcymistrzem nie byłem, ale zupełnie nienajgorszym ścigaczem już tak. Byłem siódmy na amatorskich mistrzostwach USA w slalomie gigancie. Poza tym osiągnąłem kilka zupełnie niezłych rezultatów w super gigancie i biegu zjazdowym. Były dwa sezony, gdy przejeździłem 100 dni. Natomiast kolarstwo ma dłuższą historię, bo ścigałem się już w „Społem” Łódź. Mój trener Edward Borysewicz to ten sam, który później stworzył kolarstwo w USA, zdobył dla Amerykanów pierwsze złote olimpijskie medale w kolarstwie torowym, zorganizował pierwszą grupę zawodową, a w niej całą plejadę gwiazd i gwiazdeczek kolarstwa łącznie z Lance’em Armstrong’iem. Ja byłem w Polsce niezłym juniorem... Potem miałem 25-letni rozbrat kompletny, a do tego paczka Marlboro Light codziennie przez wiele lat. Wróciłem do kolarstwa 14 lat temu i zgubiłem około 40 funtów wagi. Założyłem zespół kolarski, który działa nieprzerwanie od 12 lat. Najpierw nosił nazwę „WDT-Allvoi International Cycling Team”, a teraz po zmianie sponsora - „Polish & Slavic FCU International Cycling”. Ścigam się wciąż z młodzieżą na torze w kategorii PRO/1/2, czyli wyżej już nie można. W międzyczasie, 4 lata temu byłem

wicemistrzem USA w wyścigu punktowym Masters i zdobyłem brązowy medal w kategorii Scratch. Ogółem zdobyłem 8 tytułów mistrza stanu Illinois. To chyba całkiem nieźle jak na starego osła? Zresztą w tym roku, w sierpniu jedziemy na mistrzostwa USA do Los Angeles. Lubię te potyczki z młodzieżą i uwielbiam adrenalinę wyścigu. Czuję się mniej stary wewnątrz peletonu... Mam też własną szkołę liczącą około 20 studentów, głównie studentek. Czuję frajdę patrząc, jak z gąsienicy przemieniają się w motyle. To jakby tworzenie Apostołów, którzy będą głosić Prawdę o Sztuce.

- A czy utrzymuje Pan kontakty ze środowiskami artystycznymi w Polsce? Czy jakieś Pana prace powstałe za oceanem znajdują się w kraju?

- Jestem już w Ameryce bardzo długo, za długo. Kontakty z Polską ostygły, wypłwiałały. Ponadto, teraz to jest zupełnie inna Polska niż ta, z której wyjechałem. Mam delikatny kontakt z galerią „Triada” w Gdańsku. Kilka prac znalazło za jej pośrednictwem nowy dom. Ale obecność prac wymaga obecności twórcy. To przecież część mnie, więc powinienem potwierdzać sobą słuszność moich spostrzeżeń i wysiłków na płótnach. A niestety, ciężko mnie wyciągnąć z pracowni. Bardzo chciałbym „wojować” w Polsce, lecz gdy pomyślę o szlifowaniu dróg do otwierania podwoi galerii, to już mi się nie chce. Znow te same bałamutne konwersacje i kompromisy, które przerabiałem setki razy...

- Jakie ma Pan plany, cele, marzenia w swoim „amerykańskim śnie”?

- Ja nigdy nie śniłem o Ameryce, nigdy nie miałem amerykańskiego snu. Miałem tylko dość szarości i beznadziei. Właśnie wtedy był taki czas i całe szczęście, że już przeminął. Wyobraźnia gnała mnie w ogromny, bogaty świat. Jako dzieciak pochłaniałem nocami z latarką pod kołdrą „Za zdrowie wędrowca na szlaku” Jacka Londona. Tak naprawdę, gdy wypłynąłem na żeglarską wyprawę to moim celem była Australia, bo „to na drugim końcu świata”, „do góry nogami”. Po drodze była Ameryka, o którą się potknąłem, przewróciłem wiele razy i z harcerską zawziętością, choć nigdy harcerzem nie byłem, chciałem udowodnić, że sobie poradzę. Ot tak, no i mamy właśnie rok 2019. Wie Pan, wiele w międzyczasie się nauczyłem, dowiedziałem o sobie i o fachu, który mnie wybrał. Kiedy zorientowałem się w Sztuczności Sztuki (jak sama nazwa wskazuje), było za późno na zmiany. Nie przesadza się drzew po czterdziestce, bo mogą się nie przyjąć. Zatem wyciskam co najlepsze z owocu Sztuki, mając pełną świadomość jej ekskluzywności. Znaczy to tyle, że mogę to robić na życiowo żyznym gruncie takim jak Ameryka. Kogo obchodzi Sztuka w miejscach cierpiących, na przykład w Sudanie, Somali, Jemenie? Mamy szczęście i dobrze mieć tego świadomość. Planów nie snuję, bo lubię piękne niespodzianki, które jak do tej pory się dzieją. Gdy ktoś mnie naciąga na wydarzenie mające miejsce za tydzień to mam wrażenie, że to za wiele, wiele czasu. To tak jakby za rok. A przecież przez tych kolejnych 7 dni tyle bogactwa może się przytrafić, bogactwa często bezcennego. Natomiast cel mam - nie sprawiać bliźnim zawodu.

- Dziękuję za rozmowę i życzę wiele bezcennego bogactwa!

Rozmawiał Paweł Reising

Wszystkie zdjęcia pochodzą z archiwum Voytka Glinkowskiego.